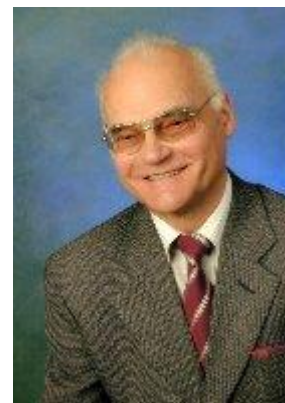


Janusz Miller

Wydobyć z mroków niepamięci...



Wydział Włókienniczy został utworzony w ówczesnej Szkole Inżynierskiej w Częstochowie w 1950 roku. Zlikwidowany - po 11 latach istnienia - przeszedł do historii. Pozostali jednak jego absolwenci, którzy przez długie lata zajmowali eksponowane stanowiska w przedsiębiorstwach produkcyjnych, handlu zagranicznym, szkolnictwie i administracji. Nie do przecenienia jest ich wkład w rozwój polskiego włókiennictwa. Dziś, w zdecydowanej większości na zasłużonej emeryturze, ciągle czują się związani z macierzystą Uczelnią, stanowią liczną grupę członków Stowarzyszenia Wychowanków Politechniki Częstochowskiej, będą również – w miarę sił i możliwości – uczestniczyć w uroczystościach jubileuszowych.

Z myślą o nich pragnę opublikować fragmenty moich osobistych wspomnień dotyczących okresu studiów, ożywić atmosferę tamtych lat, ocalić od zapomnienia naszych wykładowców, naszkicować sylwetki koleżanek i kolegów. Szkoda, że fotografie z owych czasów są tak marnej jakości. Artykuł ten w żadnym razie nie pretenduje do roli monografii Wydziału. W zasadzie jest poświęcony jednemu rocznikowi studentów rozpoczynającemu naukę w 1952 roku. Może również zainteresuje tych, którzy nigdy o tym Wydziale nie słyszeli, choć przeładowanie tekstu nazwiskami i szczegółami pewnie skutecznie ich zniechęci do jego przeczytania.

Sadzę jednak, że po 43 latach, jakie upłynęły od likwidacji Wydziału warto wydobyć z mroków niepamięci, choćby subiektywnie i wybiórczo, garść faktów stanowiących pewien rozdział w historii Uczelni.

Po maturze uzyskanej w 1952 roku w Liceum im. H. Sienkiewicza nadszedł czas podejmowania decyzji odnośnie dalszych losów. Niemal wszyscy koledzy z mojej klasy zdecydowali się na kontynuowanie nauki w szkołach wyższych. Połowa wybrała studia techniczne, z tego 10 w Szkole Inżynierskiej w Częstochowie. Funkcjonowały w niej wówczas trzy wydziały: Mechaniczny (od 1953 r. Budowy Maszyn), Metalurgiczny i Włókienniczy. Moje uzdolnienia i predyspozycje skłaniały mnie raczej do podjęcia studiów matematyczno-

fizycznych, przychodziła mi na myśl astronomia na UJ, ale młody wiek (17 lat), znerwicowanie, obawy rodziców, a także nienajlepsze warunki materialne przesądziły o tym, że zdecydowałem się pozostać w Częstochowie. Ponieważ nigdy nie miałem ani manualnych zdolności technicznych ani rysunkowych wydawało mi się, może całkiem irracjonalnie, że najwłaściwszy będzie Wydział Włókienniczy.

Egzamin wstępny odbył się w połowie sierpnia i obejmował matematykę, fizykę, oraz naukę o Polsce i świecie współczesnym. Przyjęto na pierwszy rok 132 studentów rekrutujących się z całej Polski, zarówno z Częstochowy jak i odległych rubieży kraju. Były wśród nas osoby po trzydziestce (B. Majewska, M. Generowicz, S. Grygorowicz, W. Woszczyk) z bogatym doświadczeniem i ustabilizowanym życiem rodzinnym, ale byli też 16-latkowie. Większość stanowiły dziewczyny, niejednokrotnie bardzo ładne, ale w tych surowych czasach nie eksponujące swej urody ani ubiorem, ani makijażem, ani kokieterią, zawsze jednak pełne wdzięku i powabu.

Zajęcia rozpoczęły się 1 września 1952 roku, jakkolwiek inauguracja roku akademickiego odbyła się miesiąc później. Powitał nas dziekan prof. Jan Palczewski, przedstawiając ogrom obowiązków i wymagań, jakie będą nam stawiane. Czułem się dość obco w nowym środowisku, bowiem reszta moich kolegów z liceum, którzy zdecydowali się studiować w Częstochowie, wybrała Wydział Mechaniczny bądź Metalurgiczny. Wiedza, jaką nam serwowano nie była może pasjonująca, ale zajęcia z przedmiotów podstawowych sprawiały mi dużą satysfakcję. Wiele korzystałem z wykładów prowadzonych przez Antoniego Pietrańca – uroczego człowieka i facecjonistę (matematyka i fizyka), Zbigniewa Adamskiego (chemia nieorganiczna), Kazimierza Bulskiego (geometria wykreślna), Oskara Michejdę (mechanika), Tadeusza Stacherę (wytrzymałość materiałów), Antoniego Semlitscha (termodynamika), Antoniego Grabowskiego (elektrotechnika), Mieczysława Kozikowskiego (chemia organiczna), dr Józefę Jaźwińską (chemia fizyczna), Stanisława Dawidowicza (urządzenia cieplne), czy też później na magisterskich studiach Alfreda Czarnotę (matematyka). Każdemu z nich możnaby poświęcić oddzielne wspomnienie (życiorysy części z nich są zawarte w księgach jubileuszowych Politechniki). Niektórzy z nich byli perfekcjonistami w swej dyscyplinie, inni imponowali szerokimi horyzontami myślowymi, inni wreszcie stanowili barwne nietuzinkowe postacie. Niejednokrotnie reprezentowali te wszystkie cechy równocześnie. Nie podaję ich stopni naukowych, gdyż będąc magistrami zdobywali je dopiero w trakcie dalszych lat pracy. Zajmowali wtedy na Uczelni stanowiska profesorów kontraktowych, a następnie zastępców profesora.

Nie sposób wymienić tych, którzy prowadzili ćwiczenia rachunkowe czy też laboratoryjne. Oprócz starszych – absolwentów innych uczelni (Zofia Tyszecka, Stanisław Bączyński, Hanna Przewłocka, Janina Ujmowa, Jerzy Porochnicki, Robert Krzywiec, Stefan Skrzynecki) byli to ludzie młodzi, często studenci wyższych lat.

Z wymienionych wcześniej przedmiotów miałem niemal wyłącznie oceny bardzo dobre, gorzej szło mi z rysunkiem technicznym i projektowaniem części maszyn. Zdarzało się, że za rozwiązywane przeze mnie zadania matematyczne, koledzy pomagali mi w wykonywaniu rysunków śrub, zaworów, pomp itp. Jedyne oceny dostateczne mam w indeksie z technologii metali od Wacława Sakwy oraz projektowania części maszyn od Stefana Stępowskiego (przedmiot ten wykładał też Piotr Nanys). Ze skruchą muszę przyznać, że specjalnej przykrości nie sprawiały mi zajęcia z podstaw marksizmu - leninizmu prowadzone przez skądinąd bardzo porządnego człowieka Adama Rotauba, czy też z ekonomii politycznej wykładanej przez znanego mi jeszcze z liceum dra Bogdana Puczyńskiego. Na czwartym roku doszły zajęcia z organizacji i ekonomiki przemysłu prowadzone przez Mieczysława Stańczyka, z którym później pozostawałem w zażyłych stosunkach.

Języki obce były wówczas traktowane nieco po macoszemu. Na pierwszych dwóch latach mieliśmy lektorat języka rosyjskiego z panią Ewelina Małachowską – ziemianką z kresów – prowadzony od podstaw, bowiem w liceum w moich czasach rosyjskiego nie uczono. Chodziłem również na lektorat języka francuskiego do Mariana Zamiary - późniejszego konsula generalnego PRL w Lille - kontynuując naukę ze szkoły podstawowej oraz liceum. Muszę przyznać, że nie mając okazji do prowadzenia konwersacji w obcych językach, niewiele z tej nauki wynieśliśmy. Na usprawiedliwienie mam tylko to, że moje pokolenie, żyjąc w pewnej izolacji od świata, w większości dotknięte jest ową niemotą, ograniczając się co najwyżej do biernej znajomości języków.

Udręką natomiast było dla mnie szkolenie wojskowe odbywające się raz w tygodniu. Dusłem się w obowiązkowych kombinezonach (cuchnących mundurów wtedy jeszcze na szczęście studenci nie nosili), nie umiałem posługiwać się karabinem, podpadałem u oficerów czy też instruktorów, którzy często zostawiali mnie karnie po zajęciach do czyszczenia broni. Zapamiętałem nocną wartę, jaką pełniłem w Studium Wojskowym, kiedy to ogłoszono hiobową wiadomość o śmierci generalissimusa Stalina. Dobrze, że nie obciążono mnie winą za to wydarzenie! W maju po wizycie w szpitalu wojskowym we Wrocławiu, na podstawie przedstawionych zaświadczeń oraz stwierdzonych dolegliwości zostałem uznany przez komisję lekarską za całkowicie niezdolnego do służby wojskowej. W ten sposób po kilku miesiącach skończyły się moje cierpienia i już nie uczestniczyłem w obozie wojskowym podczas wakacji.

Dziś spotykamy się z ówczesnym kierownikiem Studium Wojskowego płk. Wiktorem Szyszką, serdecznie gawędzimy, nie wspominając jednak dawnych lat.

Ale przecież studia na Wydziale Włókienniczym obejmowały przede wszystkim przedmioty dotyczące technologii włókiennictwa: naukę o włóknie (wykładał doc. Jan Palczewski), metrologię włókienniczą (Grzegorz Urbańczyk z Politechniki Łódzkiej), podstawy przędzalnictwa (J. Palczewski), podstawy dziewiarstwa (Janusz Makówka), podstawy wykończalnictwa (Zdzisław Adamski z PŁ), włókna sztuczne i syntetyczne (Mieczysław Kozikowski), a ponieważ wybrałem specjalizację z zakresu tkactwa, to począwszy od III roku w dużym wymiarze tkactwo (Józef Grosman), konstrukcję maszyn tkackich (J. Grosman) i budowę tkanin (Janusz Szosland z PŁ). Oczywiście przedmioty te obejmowały również laboratoria. Część zajęć laboratoryjnych (nauka o włóknie, metrologia, budowa tkanin) odbywała się w pomieszczeniach Wydziału zlokalizowanych wówczas na II piętrze budynku pokoszarowego przy ul. Dąbrowskiego w środkowym segmencie zajmowanym przez Studium Wojskowe. Tam też znajdował się dziekanat Wydziału i specjalizacyjne katedry. Ćwiczenia laboratoryjne z przędzalnictwa odbywały się w miejscowych zakładach włókienniczych. Laboratorium przędzalnictwa wełny zgrzebnej mieściło się przy ul. Krótkiej. Na zajęcia z laboratorium dziewiarstwa jeździliśmy do Politechniki Łódzkiej, mieszkając w akademiku w Arturówku. Natomiast laboratorium tkactwa było zlokalizowane w piwnicy pawilonu Budowy Maszyn. Wcześniej wykorzystywano też park maszynowy warsztatów Technikum Włókienniczego przy ul. Przechodniej.

Część wykładów, ćwiczeń laboratoryjnych, a także prac przejściowych i dyplomowych prowadzili dojeżdżający z Łodzi (oprócz wcześniej wymienionych) pracownicy naukowcy Politechniki Łódzkiej czy też Instytutu Włókiennictwa: Edward Bielski, Tadeusz Caban, (przędzalnictwo), Zdzisław Mrożewki (dziewiarstwo), Marian Kołodziński, Jerzy Cianciara, Zbigniew Wawraszek (tkactwo). Pomocniczą rolę spełniali specjaliści zatrudnieni w częstochowskich zakładach pracy: Jerzy Koziatulski, Kazimierz Wójcik, Kazimierz Maletz, Aleksander Schoen, Jerzy Miodyński, Bolesław Kosta, Zdzisław Holcgreber. Własną kadrę asystencką stanowili absolwenci naszego Wydziału, starsi koledzy: Władysław Panek, Stanisław Skoczylas, Wiesława Czarnecka, Anna Miczka, Michał Hoszowski (tkactwo), Tadeusz Feliszewski, Stanisław Nieciecki, Józef Petecki, Marian Karda, Ildefons Krześ (przędzalnictwo), Tymoteusz Gajda, Ireneusz Nuszkiewicz, Tadeusz Niemiec (metrologia). Później pracę na Wydziale podjęli koledzy z mojego roku: Antoni Boroński, (przędzalnictwo), Zdzisław Jung (dziewiarstwo) oraz młodsze koleżanki i koledzy: Teresa Juszcuk, Jerzy Walter (metrologia), Ninka Krop - Gajda (dziewiarstwo), Jan Płaczek (przędzalnictwo). Poza

wydziałem zostali zatrudnieni: Józef Cisło (fizyka), Wiesia Cisło (części maszyn), oraz na krótko Barbara Majewska (części maszyn) i Janina Kaźmierczak – Woźniak (organizacja przemysłu).

Funkcję dziekana Wydziału pełnili kolejno: jego założyciel i organizator doc. Jan Palczewski (1950-54 i 1958-60, w latach 1954-58 prorektor Uczelni), z-ca prof. Edward Bielski (1954-56), z-ca prof. Józef Grosman (1956-58) oraz chemik doc. Stanisław Karbownicki (1960-61). Prodziekanami byli: Teodor Będkowski (wykł. przedzalnictwa wełny), Tadeusz Stachera, Mieczysław Kozikowski i Adam Rotaub. Sądzę, że wszyscy, dziś już nie żyjący, szefowie Wydziału pozostali we wdzięcznej pamięci swych wychowanków. Sylwetki J. Palczewskiego, J. Grosmana i E. Bielskiego przedstawiałem kilkakrotnie w różnych wydawnictwach, uwypuklając zarówno ich zasługi dla Wydziału i polskiego włókiennictwa, jak i godne podkreślenia cechy osobowościowe. Cenię sobie fakt, że w późniejszych latach, aż do ich śmierci, pozostawałem z nimi w przyjacielskich stosunkach. Z pozostałych bardzo serdecznie wspominam pełnego humoru i optymizmu Mieczysława Kozikowskiego oraz Adama Rotauba ciężko doświadczonego przez życie, zwłaszcza w czasie hitlerowskiej okupacji.

Przedmioty zawodowe nie sprawiały mi trudności, choć nie wzbudzały we mnie nadmiernego entuzjazmu. Bez problemów potrafiłem opanować materiał korzystając z literatury, wykładów i ćwiczeń laboratoryjnych, ale obsługiwanie maszyn nie nauczyłem się nigdy. Ponieważ owa umiejętność nie wchodziła w zakres egzaminów i zaliczeń, otrzymywałem oceny bardzo dobre, stając się najlepszym studentem na roku, pobierającym stypendium naukowe.

Gorzej wspominam praktyki wakacyjne. Po I roku znalazłem się w lipcu 1953 na miesięcznej praktyce w zakładach mechanicznych we Wrocławiu, gdzie jak pamiętam dużo czasu kazano nam spędzać w kuźni. Upał, hałas, dyscyplina, ośmiogodzinny dzień pracy po raz pierwszy w życiu w fabryce, niemal zupełnie zniechęciły mnie do inżynierskiego zawodu. Mieszkaliśmy wprawdzie w Europejskim (z nazwy) Hotelu przy ul. Świerczewskiego, ale po pracy miałem wszystkiego dość. Wrocław był wówczas jeszcze poważnie zniszczony, pełen gruzów robił dość przygnębiające wrażenie.

Zupełnie inaczej czułem się na praktyce po II roku w Zakładach Przemysłu Wełnianego im. Rychlińskiego w Bielsku-Białej. Byliśmy tam w bardzo licznym gronie koleżanek i kolegów, było dużo więcej swobody i rozrywek.

Po III roku praktyka trwała dwa miesiące. Ale byłem już uodporniony na jej niedogodności. W Fabryce Dywanów im. Tadzka Ajzena w Łodzi było dość ciekawie, ale

z planowanych 8 tygodni spędziłem tam tylko 5. Na 2 tygodnie bowiem wyjechałem pierwszy raz w życiu na wczasy studenckie do Łagowa, natomiast w sierpniu 1955 r. jako przodujący student uczestniczyłem w Światowym Festiwalu Młodzieży w Warszawie, chlubiącej się właśnie oddanym do użytku Pałacem Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Był to już czas lekkiej odwilży, do naszej stolicy zjechały tłumy młodych ludzi z całego świata: biali, czarni, żółci, w większości, choć nie tylko „czerwoni”. Po raz pierwszy po wojnie odczuwało się w naszym kraju tyle swobody, zarówno w sensie politycznym jak i obyczajowym. Spędziłem wówczas w Warszawie cały tydzień. Trzy dni byliśmy skoszarowani w namiotach gdzieś na południowych peryferiach stolicy, tam odwiedził nas I sekretarz KC Bolesław Bierut ze świtą, witając się ze stojącymi w pierwszym rzędzie – ja stałem w drugim, a więc szczęście to mnie ominęło. Dalsze trzy dni zostałem na własną rękę, zatrzymując się u rodziny. Ów festiwal to chyba mój pierwszy kontakt ze światem i jako taki pozostał w mej pamięci.

Tymczasem na praktyce w Łodzi było dość wesoło, choć bardzo biednie. Pamiętam, jak nie otrzymawszy w porę należnej wypłaty za drugi miesiąc pobytu, koledzy będąc w dużych kłopotach finansowych chodzili na okoliczne łąki i pola (mieszkaliśmy w akademiku na Bystrzyckiej), zbierali jakieś jarzyny, zioła, a może i chwasty, z których gotowali smakowite zupy. Ale jak dostali wypłatę, to wódeczka lała się strumieniami.

Wakacje 1956 r. spędziłem na wczasach studenckich w Międzyzdrojach oraz we wrześniu w Zakopanem, gdzie mieszkaliśmy w kilkanaście osób w sali recepcyjnej willi należącej niegdyś do gen. Sosnkowskiego.

Podczas wakacji w tamtych latach młodzież studencka nie tylko korzystała z możliwości wypoczynku na wczasach akademickich, ale także uczestniczyła w obozach wojskowych, w akcjach żniwnych, pracowała przy budowie akademików przy ul. Kilińskiego (wcześniej nasi koledzy mieszkali w Blachowni oraz w pomieszczeniach szkoły przy ul. Waszyngtona) oraz rozbudowie Huty im. Bieruta; w październiku jeździła na wykopki ziemniaków, a w zimie brała udział w odśnieżaniu terenów Uczelni i miasta. Zresztą rozmaitych akcji nie brakowało: a to rozkułaczanie wsi, a to oczyszczanie bibliotek z niepożądanego literatury (czytaj: książek napisanych przez trefnych autorów lub na zakazane tematy), a to udział w remanentach w sklepach z okazji ogólnokrajowej przeceny towarów. Wszystkim tym działaniom patronował Związek Młodzieży Polskiej, do którego, zwłaszcza w prowincjonalnych uczelniach należeli niemal wszyscy studenci, wykazując oczywiście różny stopień aktywności. Nieliczni natomiast wstępowali w szeregi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (na naszym roku około 5 osób).

Na zebraniach i szkoleniach ideologicznych często padały oskarżenia o aspołeczną postawę, pasożytniczy tryb życia, wrogi stosunek do Polski Ludowej. Na „Błyskawicy” – gazetce wieszanej przy wejściu na ścianie korytarza Uczelni – odnajdywali się zarówno ideowi towarzysze oraz przodownicy nauki i pracy społecznej, jak i godni potępienia wrogowie klasowi oraz bikiniarze w butach na słoninie, kolorowych skarpetkach, przykrótkich i wąskich spodniach, w marynarce w kratę i z plerezą na głowie.

Natomiast żywa, choć ze względów ideologicznych jednokierunkowa, była działalność kulturalna w środowisku młodzieżowym inicjowana zwykle przez Zrzeszenie Studentów Polskich. Zespół Pieśni i Tańca, chór akademicki, kwartet smyczkowy, później teatrzyk satyryczny „Bambino” odnosiły znaczące sukcesy na ogólnopolskich festiwalach. Zespołom tym nadawały ton słynące z urody i wdzięku studentki Wydziału Włókienniczego.

Grupy i lata studiów organizowały tzw. wieczornice z bogatym programem artystycznym. W świetlicach Domów Studenckich nr 1 i nr 2 odbywały się potańcówki. Z głośników płynęły melodie polek i kujawiaków, ale także walczyków, tang i fokstrotów. Dziewczyny siedziały na krzeselkach, chłopcy, przynajmniej tacy nieporadni i wystraszeni jak ja, podpierali ściany. Inna rzecz, że były to czasy surowych obyczajów, przynajmniej w teorii; piętnowano wszelkie formy ekstrawagancji w ubiorze czy też zachowaniu, propagowano moralność socjalistyczną potępiającą publiczne podrywy, obłapiania i wszelakie wszeteczeństwa. Ale życie biegło swoimi ścieżkami na przekór rygorystycznym zakazom i ograniczeniom.

Bogata była również działalność sportowa kultywowana przez Akademicki Związek Sportowy. Studenckie zespoły piłki nożnej, piłki siatkowej, a zwłaszcza hokeja na trawie zwyciężały w ogólnokrajowych rozgrywkach.

Wróćmy do spraw bardziej zasadniczych. Studia w częstochowskiej Szkole Inżynierskiej rozpoczynane w 1952 roku, podobnie jak w roku poprzednim i następnym, prowadzone były w systemie czteroletnim. Od III roku na Wydziale Włókienniczym obowiązywał podział na specjalności: przędzalnictwo wełny, bawełny, włókien łykowych oraz tkactwo (nabór na wykończalnictwo zawieszono w 1953 roku). Skromne wyposażenie laboratoriów, zwłaszcza w początkowym okresie studiów, konieczność dojazdów na zajęcia, brak podręczników w polskim języku, ciasnota lokalowa i związana z nią konieczność rozplanowywania zajęć od rana do późnych godzin wieczornych (również w soboty), niedostatek miejsc w akademikach i ogólna mizéria, zarówno w kraju jak i na Uczelni, sprawiały studentom duże trudności w opanowaniu materiału. A wymagania były chyba większe niż dzisiaj! Mimo wkładanego wysiłku (choć nygusów nie brakowało) wielu odpadło,

część przedłużała planowy okres studiów, niektórzy przenieśli się do innych miast czy też na inne kierunki, ale większość dzięki własnym zdolnościom, ambicji, pilności i obowiązkowości (wówczas te cechy były bardziej powszechne niż dzisiaj), a także zaangażowaniu i pomocy ofiarnej kadry nauczającej zdobywała wiedzę i umiejętności zawodowe dochodząc do egzaminów dyplomowych.

Mój rocznik bronił dyplomów w 1956 roku. 71 osób zdobyło stopień inżyniera włókiennika (pożegnaliśmy ich na raucie w DS 2), otrzymało nakazy pracy i podjęło działalność zawodową w zakładach włókienniczych niemal całej Polski. Wielu znalazło się na Ziemiach Zachodnich, gdzie ciągle odczuwalny był brak kwalifikowanej kadry. Część po roku czy dwóch (zwłaszcza kobiety) zniechęcona egzotyką tamtych terenów wróciła do Częstochowy lub przeniosła się do innych miast Polski centralnej. Pozostali urządzili się na Dolnym Śląsku czy też na Ziemi Lubuskiej, objęli stanowiska kierownicze a potem dyrektorskie. Ale zawodowe kariery nasze koleżanki i koledzy robili nie tylko tam, nie brakowało ich w Warszawie, Łodzi, Bielsku, Gdańsku, Białymstoku, Sosnowcu oraz oczywiście w Częstochowie. Kilku pracowało w przedstawicielstwach handlowych za granicą. Natomiast nieliczni z naszego pokolenia zamieszkali na stałe na obczyźnie.

Niestety nie obyło się również bez wydarzeń tragicznych. Marian Małycka, działacz partyjny, b. asystent w Kat. Marksizmu – Leninizmu, w zagadkowych okolicznościach zginął w pożarze tuż po rozpoczęciu pracy zawodowej w grudniu 1956 r. w Skwierzynie k/Gorzowa. W latach 70. Stanisław Gawlik, dyr. Technikum w Żaganiu został zastrzelony na korytarzu szkoły.

Ale zanim doszło do wspomnianych egzaminów dyplomowych naszych kolegów Szkoła Inżynierska została w 1955 roku przemianowana w Politechnikę Częstochowską. W związku z powyższym Uczelnia otrzymała prawo prowadzenia studiów magisterskich. Początkowo (1954 r.) zostały one uruchomione dla grupy asystentów zatrudnionych na Uczelni i posiadających stopień inżyniera. Później (1955 r.) umożliwiono grupie studentów IV roku Wydz. Włókienniczego kontynuowanie studiów magisterskich na Politechnice Łódzkiej. Dopiero w odniesieniu do naszego rocznika w 1956 roku uruchomiono studia magisterskie po VII semestrze dla 16 osób: ośmiu na specjalności przędzalnictwo i ośmiu na tkactwie (znalazłem się wśród nich). Obejmowały one trzy semestry. Semestr I, a właściwie VIII wypełniony był zajęciami z matematyki (A. Czarnota), fizyki (doc. A. Pietraniec), wytrzymałości materiałów (O. Michejda), projektowania maszyn tkackich (J. Grosman) oraz wybranych zagadnień z mechanicznej obróbki włókna (doc. J. Palczewski). Na semestrze II mieliśmy mechanikę (O. Michejda), projektowanie zakładów włókienniczych (J. Grosman),

wybrane zagadnienia z metrologii włókienniczej (Jerzy Godek z IW w Łodzi) – laboratorium w Politechnice Łódzkiej, tkactwo (J. Grosman) oraz język obcy (niemiecki z p. Rankowską). Wykonywaliśmy również pracę przejściową z zakresu przędzalnictwa (E. Bielski). Semestr III miał być poświęcony przygotowaniu pracy dyplomowej, dla naszej specjalności oczywiście z zakresu tkactwa.

Okres naszych studiów magisterskich zbiegł się w czasie ze znamienymi wydarzeniami w historii powojennej Polski. Październik 1956 poprzedzony odwilżą w życiu politycznym kraju, ale także wydarzeniami poznańskimi, rozbudził emocje i nadzieje na zmianę systemu. Nasłuchiwalismy wieści z Warszawy, zaczytywaliśmy się „Po prostu”, wszyscy uczestniczyliśmy w burzliwym wiecu w Hali Obrabiarek, a następnie maszerowaliśmy w kierunku Jasnej Góry. Skutkiem przełomu była większa swoboda wypowiedzi i działania, rozwiązanie ZMP, weryfikacja członkostwa w partii, a w szkolnictwie wyższym większa samodzielność uczelni, likwidacja wykładów z marksizmu – leninizmu, a także radykalne rozluźnienie dyscypliny studiów, uprzednio konsekwentnie przestrzeganej.

O ile przedmioty podstawowe pozdawaliśmy w terminie, o tyle zawodowe studiowaliśmy długo i dogłębnie. Egzaminy, projekty, prace przejściowe odwlekaliśmy przez wiele miesięcy, a już prace dyplomowe przeciągaliśmy ponad wszelką miarę. Pierwsze cztery osoby zdały egzamin dyplomowy w czerwcu 1958 roku (zamiast 57), ja obroniłem pracę 31 października, pozostali koledzy i koleżanki jeszcze później. Egzamin dyplomowy nie był dla mnie specjalnym wydarzeniem. Zdawałem go sam w obecności zaprzyjaźnionych profesorów J. Palczewskiego, J. Grosmana i przypadkowo ściągniętego chemika M. Wieleckiego.

Okres studiów magisterskich wspominam bardzo ciepło. Poczuję się zdecydowanie lepiej pod względem psychicznym, stałem się bardziej rozluźniony, swobodny, zaangażowany towarzysko. Właściwie dopiero wtedy nawiązałem przyjaźnie, które przetrwały długie lata.

Szczególnie bliski był mi Włodek Seeman – „góral” z Żywca, wyjątkowo koleżeński i serdeczny, łatwo nawiązujący kontakty, potrafiący sobie wszystko załatwić i pomóc innym. Bardzo lubiany przez moich rodziców, często bywał w naszym domu na 7 Kamienic. Później wiele razy odwiedzaliśmy się w Częstochowie oraz w Bielsku. Również Zbyszek Młyński ze względu na wiek (rocznik 1936) i niezbyt okazałą posturę zwany Smokiem, prezentujący dużą inteligencję i żywą umysłowość pozostał moim przyjacielem. Mieszka w Andrychowie z żoną Basią Uracz. Antek Boroński dużo starszy (rocznik 1929) spokojny, opanowany, solidny, obarczony starokawalerskimi nawykami pracował w Katedrze Przędzalnictwa, a po likwidacji Wydziału zainstalował się w Sosnowcu. Bogdan Stark z szelmowskim uśmiechem

podrywający dziewczyny ożenił się przed dyplomem (zresztą nie na długo) i wrócił do rodzinnej Bydgoszczy. Rysiek Glice, ujmujący człowiek o dużej kulturze osobistej, musiał się szybko uniezależnić w życiu ze względu na wczesną stratę rodziców. Pozostał w Częstochowie dziedzicząc domek przy al. Lenina i biorąc ślub z naszą serdeczną koleżanką Hanią Chmiel. Zdzisiek Jung bogatszy od nas, szpanujący lepszym towarzystwem i atrybutami zamożności dla innych wtedy nieosiągalnymi, ożenił się z Aliną Rogowską. Zawsze energiczna, niezwykle operatywna i pomocna ludziom Ela Palicka – Paradowska wyjechała do Wrocławia, dokąd nieustannie nas zaprasza. Grono magistrantów uzupełniali: Janek Uczciwek, Stefan Węglik, Heniek Gęsiarz, Hanka Rogowska (córka przezacnej i opiekuńczej lekarki akademickiej), Dzikka Radomska, Basia Stanek i Barbara Majewska - w późniejszych latach pisząca scenariusze przedstawień Teatru TV „Kobra”. Ich kariery zawodowe wymagałyby odrębnego opracowania.

Dużo czasu spędzaliśmy z kolegami w żeńskim Domu Akademickim nr 2, gdzie mieszkały nasze miłe koleżanki, natomiast w „trójce” graliśmy po nocach w brydża, nie stroniąc również od pokerka. Uczestniczyliśmy także ze zmiennym powodzeniem w turniejach i meczach brydżowych rozgrywanych na terenie Uczelni i miasta.

Chodziliśmy wtedy do Kawiarni „Sielanka” przy ul. Nowowiejskiego, gdzie na dansingach grał zespół złożony z absolwentów Uczelni (Grzesiek Danielak, Rysiek Popko, Dudek Hoszowski). Natomiast zabawy studenckie a nawet bale kostiumowe odbywały się w przystosowywanych do tego celu audytoriach WSE i Politechniki, w stołówce na parterze DS 1 oraz w salach wynajmowanych w mieście - w szkołach bądź urzędach.

Często bywałem w kinie, teatrze oraz filharmonii. Filmy wyświetlano w „Wolności”, „Bałtyku” i „Tęczy”. Oprócz polskich i radzieckich, które zdecydowanie dominowały do 56 roku, można było wówczas obejrzeć, jakkolwiek z dużym opóźnieniem, filmy włoskie, francuskie, amerykańskie. Chodziło się podziwiać ówczesne piękności: Ginę Lollobrigidę, Sophie Loren, Michele Morgan, Jeanne Moreau, idolkę pokolenia Brigitte Bardot czy też Audrey Hepburn i Marilyn Monroe. Nie wspominam o wielkich aktorach uwielbianych przez płęć piękną, a cenionych również przez nas.

Częstochowski teatr pod dyrekcją Edmunda Krona cieszył się wtedy niezłą opinią i wysoką frekwencją. Natomiast orkiestra symfoniczna pod kierunkiem Krzysztofa Missony koncertowała w pocerkiewnej ciasnej salce przy ul. Dąbrowskiego. Często gościli tam wybitni wirtuozi jak Halina Czerny – Stefańska, Barbara Hesse – Bukowska, Wanda Wiłkomirska, Adam Harasiewicz, Władysław Kędra.

W sierpniu 1957 roku, dzięki ówczesnemu dziekanowi prof. Grosmanowi, a może również przyjaznym mi podszeptom kierowniczkii dziekanatu przemilej Eli Panek, zostałem zakwalifikowany na praktykę wakacyjną do Jugosławii. Po odwilży 1956 roku była to właściwie pierwsza możliwość zagranicznego wyjazdu i to od razu do kraju tak „egzotycznego” jakim w niedawnych czasach stalinowskich była Jugosławia rządzona przez „psa łańcuchowego amerykańskiego imperializmu” marszałka Josipa Broz – Tito. Grupa studentów zorganizowana przez ZSP liczyła ok. 40 osób, ale z Częstochowy byłem sam. Zbiórkę zarządzono o świcie na peronie dworca w Katowicach, gdzie mieliśmy otrzymać paszporty. Okazało się jednak, że przez tydzień dokumenty te nie nadchodziły. Przez kilka dni wracałem więc do Sosnowca, gdzie nocowałem u brata, aby następnego dnia wczesnym rankiem znów jechać do Katowic. Wreszcie paszporty nadeszły i wyruszyliśmy do Belgradu.

Podróż trwała ok. 30 godzin. W południe zwiedzanie Belgradu, śniadanie w Jugosłowiańskim Związku Młodzieży, trochę odpoczynku w domu akademickim i wieczorna włóczęga po gorącej, pulsującej życiem, europejskiej jak nam się wydawało, stolicy południowego kraju. Rano dalsza podróż do Mariboru w Słowenii, gdzie przez 4 tygodnie odbywałem praktykę w zakładach bawełniarskich. Miasto położone nad Drawą u podnóża Alp sprawiało b. miłe wrażenie; warunki egzystencji (hotel, wyżywienie) miałem znakomite, ale niestety byłem tam jedynym Polakiem. Trudno było mi precyzyjnie się porozumiewać z personelem fabryki, natomiast z praktykantem z Francji wiedliśmy długie rozmowy w jego języku. Po zakończeniu praktyki otrzymałem w nagrodę tygodniowy pobyt nad morzem. Poprzez Lublanę, gdzie stacjonował polski student z Wrocławia, i Rijekę popłynęliśmy we dwójkę na Mały Losinj, a stamtąd do Crkvenicy. Wrzesień nad Adriatykiem był cudowny. Po zwiedzeniu Opatiji i Zagrzebia, gdzie odbywały się właśnie międzynarodowe targi techniczne, pojechaliśmy nocą do Budapesztu. I znów cały dzień, bez pieniędzy i bez jedzenia, zwiedzanie kolejnej stolicy okaleczonej jeszcze po ubiegłorocznym powstaniu i radzieckiej interwencji. I tak 15 września wróciłem do kraju pełen wrażeń i spostrzeżeń, którymi dzieliłem się z bliskimi. Niewielu jeszcze wówczas odbywało takie podróże.

Studia upływały więc w pogodnej atmosferze, ale wraz z końcem V roku zaprzestano wypłacać nam stypendia (moje naukowe było całkiem wysokie, wynosiło chyba 700 zł), pozostawiono jedynie kolegom prawo zamieszkiwania w akademiku. Niektórzy z nich, nie mając dyplomu, rozglądali się za pracą, inni wzięli się ostro do roboty, zdając zaległe egzaminy i pisząc prace dyplomowe. Ja, legitymując się bardzo dobrymi ocenami byłem wysoko ceniony przez prof. Grosmana, zajmującego wówczas stanowisko kierownika Katedry Tkactwa oraz pełniącego funkcję dziekana Wydziału. Nie czekając na obronę dyplomu, profesor

zaangażował mnie z dniem 1 lutego 1958 roku do pracy w Politechnice Częstochowskiej na stanowisku asystenta w Katedrze Tkactwa z pensją miesięczną w wysokości 1100 zł. Podpisałem umowę, złożyłem kurtuazyjną wizytę rektorowi prof. Jerzemu Kołakowskiemu i przystąpiłem do wypełniania dydaktycznych obowiązków.

Ale przebieg mojej pracy w Katedrze w latach 1958 – 61, tzn. do chwili likwidacji Wydziału, stanowi kolejny rozdział moich wspomnień, który może uda mi się opublikować w jednym z następnych numerów naszego periodyku.

W lutym 1958 roku podjąłem pracę jako asystent w Katedrze Tkactwa, kierowanej przez zastępcę profesora mgra inż. Józefa Grosmana. Szef, który wcześniej kierował katedrą o tym samym profilu w Politechnice Łódzkiej, był człowiekiem niezwykle dynamicznym. Mieszkając w Łodzi, trwale współpracował z Instytutem Włókiennictwa, z Biurami Projektowania Budownictwa Przemysłowego w Warszawie i Wrocławiu, Centralnym Instytutem Ochrony Pracy, Polskim Komitetem Normalizacyjnym oraz Centralą Handlu Zagranicznego Metalexport. Był ekspertem w zakresie technologii i konstrukcji maszyn tkackich, twórcą i opiniodawcą szeregu projektów zakładów włókienniczych, autorem skryptów z zakresu tkactwa.

Profesor, mając wtedy 50 lat, ciągle zmieniał miejsce pobytu, podróżując pociągiem między Łodzią, Częstochową, Warszawą, Wrocławiem, Bielskiem, wreszcie Inowłodzem, gdzie budował letnią rezydencję. W Częstochowie spędzał zwykle 2 dni w tygodniu, w ciągu których wykładał różne, często luźno ze sobą powiązane przedmioty, egzaminował studentów, prowadził prace dyplomowe, inspirował badania naukowe, a jednocześnie kierował pracami organizacyjnymi i administracyjnymi, nie tylko Katedry, ale i Wydziału. Siły jego wydawały się niespożyte, a energia niewyczerpana.

W wypełnianiu wielu obowiązków wyręczał profesora adiunkt Władysław Panek - ceniony fachowiec, świetny dydaktyk, przyjaciel młodzieży, a jednocześnie niezwykle wartościowy człowiek, uczynny i koleżeński. Oprócz niego pracowały w Katedrze dwie miłe panie, trochę starsze ode mnie, Wiesława Czarnecka i Anna Miczka, które zajęcia w Uczelni godziły wówczas z obowiązkami domowymi i wychowawczymi. Zespół uzupełniali: Zbigniew Wawrzaszek - przez pewien czas dojeżdżający z Łodzi adiunkt, legitymujący się już określoną pozycją zawodową, oraz Michał Hoszowski - błyskotliwy młody człowiek z artystycznymi zainteresowaniami, zatrudniony na stanowisku technicznym w laboratorium maszyn tkackich.

Zajmowaliśmy wszyscy jeden pokój w kompleksie pomieszczeń Wydziału, drugi przypisany był profesorowi Grosmanowi, który rzadko w nim jednak przebywał.

Katedrze przyporządkowany był również Zakład Dziewiarstwa, którym kierował - mieszkający w Łodzi - adiunkt Janusz Makówka. W nieistniejącym dziś budynekku koło pawilonu Wydziału Budowy Maszyn zorganizował on



Kadra asyntencka Wydziału (od lewej: A. Boroński, student M. Przewlocki, W. Czarnecka, W. Panek, I. Nuszkiewicz, J. Miller)

laboratorium, w którym zgromadził kilka podstawowych maszyn dziewiarskich. I tam właśnie rozpocząłem pracę dydaktyczną, prowadząc zajęcia laboratoryjne ze studentami IV roku. Niespecjalnie się na tym znałem, ale ze względu na niewielki zakres nauczanej problematyki, nieźle sobie radziłem. Choć zdarzały się również potknięcia. Pamiętam jak pewnego razu nieumiejętnie uruchomiłem maszynę osnowową, powodując zerwanie kilkuset nitki. Okropnie się zmartwiłem - na szczęście stało się to poza ćwiczeniami, dzięki czemu uniknąłem kompromitacji wobec studentów.

W kolejnym roku, już po dyplomie, prowadziłem wraz z zespołem zajęcia laboratoryjne z budowy tkanin oraz technologii tkactwa w piwnicy pawilonu WBM.

Kontakt ze studentami miałem znakomity, w większości byli to ludzie nieznacznie ode mnie młodszy. Było dużo atrakcyjnych dziewczyn, z niektórymi serdecznie się zaprzyjaźniłem. Z częścią studentów byłem po imieniu, ale na ogół starałem się wobec nich zachowywać pewien dystans.

Do zajęć przygotowywałem się z literatury rosyjskiej. Były też polskie podręczniki (zwykle tłumaczenia), zwłaszcza z budowy tkanin, ale problemy geometrii tkanin musiałem studiować w języku angielskim. Prowadziłem prace przejściowe i dyplomowe (często w zastępstwie profesora), pomagałem Władkowi Pankowi w badaniach oscylograficznych krosna, a także uczestniczyłem w pracach badawczych i usługowych na rzecz przemysłu. Szczególnie dużo czasu i wysiłku poświęciłem rekonstrukcji niezbyt udanego krosna brezentowego KT3 na zlecenie Częstochowskich Zakładów Przemysłu Lniarskiego (CZPL) Stradom. Pamiętam niekończące się dyskusje z profesorem, z głównym wykonawcą pracy Władkiem Pankiem, a także zastępcą dyrektora fabryki Jerzym Koziętulskim. Praca zakończyła się powodzeniem: projekt został zaakceptowany przez zleceniodawcę i zrealizowany

w odniesieniu do całej partii krosien, które później przez długi czas były jeszcze użytkowane do produkcji tkanin brezentowych.

Intensywna praca wypełniała w zasadzie dni, kiedy profesor przebywał w Częstochowie. Co więcej, wieczorami, mając w perspektywie nocleg w akademiku lub podróż do kolejnego miejsca zatrudnienia, szef zapraszał mnie i Władka na kolację do restauracji, gdzie - ku mojemu utrapieniu - pogwarki przedłużały się niemiłosiernie, a mnie długotrwałe siedzenie przy stole zawsze bardzo męczyło. Profesor, początkowo bardzo pewny siebie, po niepowodzeniach w Politechnice Łódzkiej, a następnie poprzedzającej likwidację Wydziału w naszej Uczelni sprawie sądowej przeciwko niemu i prof. Palczewskiemu o formalne uchybienia w rozliczeniach produkcji w katedralnych laboratoriach, stał się nieco zakłopotany i niepewny jutra. O ludziach stojących w hierarchii wyżej od siebie wyrażał się zwykle dość lekceważąco, natomiast zawsze był życzliwie nastawiony do „maluczkich”. Nas, w niczym mu nie zagrażających, a w wielu sprawach bardzo przydatnych, traktował niezwykle serdecznie i obdarzał dużą sympatią. Po likwidacji Wydziału spotykaliśmy się dość rzadko. Raz czy dwa, będąc w Częstochowie, nocował w domu moich rodziców, a w końcu lat 70., niedługo przed jego śmiercią, odwiedziłem go z żoną w jego posiadłości w Inowłodzu, gdzie pani profesorowa ugościła nas znakomitą baraniną.

Nieprzemijającą wartość ma nasza przyjaźń z Jędrkiem Bukowskim i jego młodszą siostrą Anką. W domu ich rodziców w III Alei spędziłem niezliczoną ilość godzin, tam wiedliśmy niekończące się dysputy, które mimo częstych różnic poglądów, dawały nam ogromną satysfakcję. Jędrzek - kolega z liceum Sienkiewicza - obronił dyplom jednocześnie ze mną na Wydziale Budowy Maszyn, a później studiował romanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Po latach ożenił się z Holenderką i wyjechał do Francji, gdzie pracował na uniwersytecie w Grenoble, a następnie po 1990 roku zajmował stanowisko konsula generalnego RP w Lille. Anka - absolwentka filologii angielskiej - osiadła z mężem w Kanadzie. Nasza przyjaźń, mimo zmiany układów rodzinnych, mimo dzielących nas odległości, nie słabnie. Owocuje ich częstymi wizytami w rodzinnej Częstochowie, a moimi z Basią we Francji i - tylko w myślach - za oceanem.

W gronie pracowników Uczelni w końcu lat 50. spotykaliśmy się w klubie usytuowanym na II piętrze obok audytorium PP. Był tam telewizor odbierający wówczas program przez kilka godzin dziennie. Oglądaliśmy filmy, spektakle teatralne, transmisje sportowe, programy rozrywkowe. Tam grywaliśmy w brydża, słuchaliśmy prelekcji, czasami muzyki. Samotni bywali w niezłe wówczas prosperujących klubach studenckich „Filutek”

w DS 1 i „Kiks” w DS 3 oraz odwiedzali dziewczyny w DS 2. Sympatycy Zespołu Tanecznego często obserwowali jego występy, podziwiając wdzięk, urodę i kunszt jego solistek.

W 1959 roku oddano do użytku „Dom Profesora” przy ulicy noszącej wówczas imię Arkadiusza Deglera (potem al. Zawadzkiego, dziś Armii Krajowej). Mieszkania otrzymało tam wielu kolegów, uprzednio zajmujących pokoje w domu studenckim. Warunkiem jego uzyskania było posiadanie rodziny, przynajmniej dwuosobowej. Ale wówczas nadszedł już czas, kiedy rodziny szybko się powiększały. Stąd rotacja w tym budynku była znaczna, zwłaszcza jeśli chodzi o mieszkania jednopokojowe. Dość często gościłem tam, odwiedzając Elę i Władka Panków, Wiesię i Józka Cisłów oraz innych zaprzyjaźnionych lokatorów. Na imprezy przychodziłem zwykle ostatni, około północy, aby uniknąć długiego przesiadywania przy stole w ciasnych pomieszczeniach, w których przy dużej liczbie biesiadników trudno się było poruszać.

W niedzielne upalne dni Uczelnia organizowała wyjazdy w plener, udostępniając ciężarowy samochód wyposażony w drewniane ławki. Dość znaczna grupa osób podróżowała w ten sposób do Ważnych Młynów czy też Zawad. Kilku kolegów, którzy dorobili się motocykli SHL, a może nawet junaków, towarzyszyło nam w tych wyprawach na swoich stalowych rumakach, wzniecając wokół tumany kurzu.

Posiadanie samochodu w owych czasach stanowiło ewenement. Od zawsze poruszał się nim Jasiu Kępiński - zatrudniony w Katedrze Mechaniki i Wytrzymałości Materiałów rzeczoznawca PZMot-u i wykładowca na kursach samochodowych, dzięki któremu w 1961 roku uzyskałem prawo jazdy. Ale korzystanie z niego odwlekało się przez blisko 10 lat. Starsi koledzy zaczęli „zdobywać” wartburgi począwszy od 1963 roku, zamieniając je potem na skody i polskie fiaty. Choć Władkowi jego wartburg służył przez 35 lat. Ja w 1959 roku, dzięki Grześkowi Lipowskiemu, dostałem z ZSP talon upoważniający do ratalnego zakupu roweru. Jeździłem nim przez kilka sezonów, rywalizując z „Babcią” Piasecką, wykładającą matematykę.

Moje zainteresowania sportowe ograniczały się do studiowania prasy i wysłuchiwania transmisji radiowych, zwłaszcza dotyczących zawodów lekkoatletycznych, relacjonowanych przez mojego ulubionego sprawozdawcę Bohdana Tomaszewskiego. Pamiętam pierwsze transmisje telewizyjne z igrzysk olimpijskich w Rzymie w sierpniu 1960 roku, oglądane u Panków, którzy dość wcześnie zakupili telewizor. Mocno przeżywaliśmy zwycięstwa Krzyszkowiaka i Szmidta, krzywdę Walaska czy też porażkę Pietrzykowskiego z Cassiusem Clayem.

Z dzieciństwa, kiedy to byłem wiernym kibicem Skry, pozostały mi zainteresowania piłką nożną, tyle że w bardziej perfekcyjnym wykonaniu. Osobiście byłem w Chorzowie na zwycięskim meczu reprezentacji Polski z ZSRR w 1957 roku, później na eliminacyjnym meczu mistrzostw Europy z Hiszpanią, i znów ze Związkiem Radzieckim, tym razem w 1961 roku w Warszawie. Szczególnie mecze z naszym wschodnim sąsiadem odbywały się zawsze w gorącej atmosferze, wynikającej z podtekstów politycznych.

Patriotyzm lokalny objawił się, kiedy to z Władkiem Pankiem i Adamem Rotaubem wybraliśmy się samochodem Mieczysława Kozikowskiego do Krakowa na mecz Skry, bodaj z Garbarnią, decydujący o wejściu naszej drużyny do I ligi. Prerażenie nasze nie miało granic, gdy przed Koziegłowami stanęły nam gwiazdy przed oczami, a na jezdni zobaczyliśmy toczące się do rowu urwane koło mocno wysłużonej dekawki, która miała dowieźć nas do celu, osiągając zawrotną prędkość 60 km/godz. W tym momencie ciekawie zapowiadająca się wyprawa zakończyła się - na szczęście tylko - siniakami i guzami na głowach. A Skra bez naszej obecności oczywiście mecz przegrała i sen o jej awansie prysnął bezpowrotnie.

Pełne wrażeń były kilkudniowe wycieczki ze studentami do zakładów włókienniczych na Ziemiach Zachodnich. Organizowano je corocznie w maju dla studentów IV roku. Obejmowały Wrocław, Bielawę, Walim, Kowary, Mysłakowice, Karpacz, Jelenią Górę. Miały charakter zarówno poznawczy, jak i integracyjny. Oprócz młodzieży uczestniczyli w nich również pracownicy naukowcy w charakterze opiekunów. Zbliżeniu ze studentami sprzyjały też kontrole praktyk wakacyjnych, często w atrakcyjnych miejscowościach.



Studenci na wycieczce technicznej na Ziemiach Zachodnich w 1958 roku (zdjęcie z lewej) i w 1960 roku (zdjęcie z prawej)

Jeżeli chodzi o wakacje z tego okresu, to szczególnie utkwiły mi w pamięci te w 1959 roku, kiedy to z Irkiem Nuszkiewiczem odbyliśmy dwutygodniowy spływ kajakowy z Sorkwit do Jabłoni, pokonując mazurskie jeziora oraz malowniczą rzekę Krutynię. Irek – adiunkt w Katedrze Nauki o Włóknie - był inteligentnym, dowcipnym człowiekiem i przebywanie w jego towarzystwie stanowiło dużą przyjemność. Żal, że nie ma go już wśród nas. Wracając przez Warszawę witałem na jej ulicach, goszczącego w naszej stolicy, ówczesnego wiceprezydenta USA Richarda Nixona. Była to pierwsza w powojennej Polsce wizyta

amerykańskiego polityka tak wysokiego szczebla. W owych czasach podróże zachodnich mężów stanu do Krajów Demokracji Ludowej należały do rzadkości.

W 1961 roku spędziłem wakacje w Sopocie. Tam obserwowałem I Międzynarodowy Festiwal Piosenki, odbywający się w hali Stoczni Gdańskiej im. Lenina. W tamtych latach było to spektakularne wydarzenie. Konkurs wygrała Tamara Miansarowa, śpiewająca „Pust wiegda budiet sołnce”. Ale ja zapamiętałem te wakacje z całkiem innego powodu...

Powróćmy do spraw związanych z Wydziałem. W latach 1958-59 wykonano remont kolejnego segmentu gmachu koszarowego stanowiącego dotąd Dom Młodego Robotnika. Zaadaptowano jego pomieszczenia m.in. na potrzeby Wydziału Włókienniczego przeżywającego wówczas okres największej prosperity. Na II piętrze znalazły się: dziekanat, pomieszczenia Katedr Przędzalnictwa i Tkactwa oraz pracownia budowy tkanin (obecnie znajdują się tam Instytuty Matematyki oraz Podstaw Konstrukcji Maszyn). Natomiast na I piętrze - dużym wysiłkiem kadry zatrudnionej na Wydziale oraz w częstochowskich zakładach pracy - uruchomiono laboratoria przędzalnictwa wełny chesankowej oraz przędzalnictwa bawełny. Pomieszczenia nad Studium Wojskowym przejęła całkowicie Katedra Nauki o Włóknie z nieźle wyposażonymi pracowniami metrologii, badań mikroskopowych i użytkowych. Od 1956 roku w parterowym budynku obok pawilonu WBM funkcjonowało laboratorium przędzalnictwa włókien łykowych oraz mechanicznego wykończalnictwa przędzy, stanowiące szczególnie obiekt zainteresowań kierownika Katedry Przędzalnictwa prof. Palczewskiego.

Począwszy od 1954 roku prowadzone były na Wydziale jednolite 5-letnie studia magisterskie, usankcjonowane z chwilą przemianowania Szkoły Inżynierskiej na Politechnikę. W związku z rozszerzonymi zadaniami dydaktycznymi i organizacyjnymi w końcu lat 50. przyjęto do pracy kolejnych absolwentów Wydziału: Teresę Juszcuk i Jerzego Waltera (Katedra Nauki o Włóknie), Antoniego Borońskiego i Jana Płaczka (Katedra Przędzalnictwa), Zdzisława Junga i Janinę Krop-Gajdę (Zakład Dziewiarstwa) oraz Wiesławę Cisło (Katedra Części Maszyn). Ciekawą, niezwykle barwną, niemal legendarną postacią tamtych lat był Robert Krzywiec, zatrudniony uprzednio w Katedrze Mechaniki i Wytrzymałości Materiałów. W 1957 roku odsunięty od pracy dydaktycznej jako zbyt wymagający i niekonwencjonalny w swym sposobie bycia, ale zdolny i twórczy, przeszedł do Katedry Przędzalnictwa. Zajmował się tam matematycznymi aspektami teorii procesów włókienniczych, przygotowując dla prof. Palczewskiego fragmenty monografii „Podstawy przędzalnictwa”, która ukazała się już po likwidacji Wydziału. Wcześniej profesor wydał podręcznik akademicki „Technologia lnu”.

W końcu lat 50. pracownicy Wydziału podjęli badania naukowe, owocujące publikacjami. Zastępca profesora Edward Bielski w 1962 roku obronił w Politechnice Łódzkiej pracę doktorską. Młodszy pracownicy natomiast prezentowali wyniki swoich badań na sesjach naukowych organizowanych na Uczelni w latach 1958-1960.

W 1960 roku Politechnika obchodziła uroczystość, przełożony z poprzedniego roku, jubileusz 10-lecia istnienia, któremu towarzyszył zjazd wychowanków Uczelni.



Na zgromadzeniu w dniu 30 września powołano Koło Absolwentów PCz. Przewodniczącym Koła został jego inicjator Rościśław Juszcuk. W skład zarządu weszli m.in. Jerzy Kulik, Zbigniew Błażejowski, Ireneusz Nuszkiwicz.



Rościśław Juszcuk otwiera Zjazd Absolwentów - 1960 r.
 (z lewej: rektor PCz prof. Wacław Sakwa, z prawej: prof. Alfred Czarnota)

Koło to, przekształcone później w Stowarzyszenie Wychowanków PCz., organizowało co 5 lat zjazdy absolwentów, w których mimo likwidacji Wydziału gremialnie uczestniczyli włókiennicy. Na ostatnim zjeździe w 2004 roku zjawili się ich 120.

Innym forum integrującym przez dziesiątki lat nasze koleżanki i kolegów było Stowarzyszenie Włókienników Polskich, działające w latach 50. pod nazwą Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Przemysłu Włókienniczego. Jego koło funkcjonowało również w Politechnice Częstochowskiej - przewodniczył mu Edward Bielski. W 1960 roku na Walnym Zgromadzeniu, wraz z kilkoma innymi absolwentami Wydziału, znalazłem się w składzie Zarządu Oddziału w Częstochowie, a 4 lata później zostałem wybrany członkiem Zarządu Głównego w Łodzi. Moja działalność koncentrowała się wokół spraw dotyczących podnoszenia kwalifikacji kadr zatrudnionych w przemyśle włókienniczym. Organizowałem kursy nowych technologii, szkolenia BHP itp. Pełni młodzieńczego entuzjazmu spotykaliśmy się w gronie pasjonatów w pomieszczeniach NOT-u, w wieżowcu przy ulicy Braci Domagalskich (dziś POW), debatując całymi godzinami pod przewodnictwem Mieczysława Kowalika nad rzeczywistymi i wydumanymi problemami przemysłu.

Dla mnie działalność w tym Stowarzyszeniu stanowiła zawsze okazję do spotkań z koleżankami i kolegami włókiennikami, zarówno na terenie Częstochowy, jak i innych ośrodków, a zwłaszcza Łodzi, gdzie uczestniczyliśmy w kolejnych zjazdach, konferencjach, posiedzeniach Głównego Zarządu i rozmaitych komisji. Warte zapamiętania były też wycieczki krajowe i zagraniczne organizowane przez SWP. Dzięki tej aktywności miałem możliwość utrzymywania kontaktów z wieloma ciekawymi ludźmi, zwłaszcza z długoletnim prezesem Stowarzyszenia, a kiedyś naszym wykładowcą, prof. Januszem Szoslandem, stanowiącym niekwestionowany autorytet naukowy i moralny.

W początku maja 1960 roku zostałem wydelegowany przez Uczelnię do Kielc, aby w tamtejszych liceach prowadzić rekrutację na Wydział Włókienniczy Politechniki Częstochowskiej. Wracając do domu w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, usatysfakcjonowany zainteresowaniem maturzystów tym kierunkiem studiów. Tymczasem na Uczelni dowiedziałem się, że w Ministerstwie zapadła właśnie decyzja o likwidacji Wydziału. Wprawdzie pogłoski na ten temat krążyły od pewnego czasu, ale nie dawaliśmy wiary, że Wydział, który dopiero co dorobił się nowych laboratoriów, którego kadra zaczęła się właśnie prawidłowo rozwijać, tak łatwo może zostać unicestwiony. Rozgoryczenie nasze nie miało granic.

Decyzja o likwidacji była motywowana słabością kadrową Wydziału (tylko jeden docent włókiennik), jego niedostatecznym wyposażeniem, niższym demograficznym, jaki

dotknął wojenne roczniki, oraz rzekomym zmniejszeniem zapotrzebowania na inżynierów tego kierunku. W podtekstach doszukiwano się jednak destrukcyjnego wpływu Politechniki Łódzkiej, która chciała pozbyć się konkurencji, zwłaszcza w zakresie naboru, jak również braku zdecydowanego działania władz naszej Uczelni, które w obliczu zagrożenia wszelkie wysiłki chciały skoncentrować na utrzymaniu i wzmocnieniu dwóch pozostałych wydziałów, poświęcając, jakby nie było, najsłabszy.

Kandydatów na I rok, również tych namówionych przeze mnie, skierowano na egzamin wstępny do Politechniki Łódzkiej. Tam przeniesiono też z dniem 1 października 1960 roku studentów II i III roku. U nas pozostawiono rok IV i V. Zajęcia na specjalnościach prowadziliśmy normalnie, choć część kadry zaczęła rozglądać się za innym miejscem pracy, niektórzy - całkiem rozsądnie - uciekali z „tonącego okrętu”.

Dziekanem Wydziału spełniającym rolę jego grabarza, został doc. Stanisław Karbownik, natomiast doc. Jan Palczewski, zachowując etat u nas, został zaangażowany do Politechniki Łódzkiej. Warto nadmienić, że nie zdołał się tam zaaklimatyzować i już w styczniu 1962 roku wrócił na naszą Uczelnię, obejmując stanowisko kierownika Zakładu Geometrii Wykreślnej, a następnie pełnomocnika rektora ds. dydaktyki. Kilku kolegów odeszło do pracy w przemyśle, reszta wiązała swą przyszłość z Technikum Włókienniczym, gdzie wkrótce stanowisko dyrektora objął Marian Karda z Katedry Przędzalnictwa.

Ja nosiłem się z zamiarem przeniesienia do Łodzi, gdzie czekała na mnie praca w Centralnym Laboratorium Przemysłu Wełnianego, ale warunki mieszkaniowe zupełnie mi nie odpowiadały. Tymczasem ulokowałem swoje uczucia w Warszawie i tam, namawiany przez rozpoczynającego karierę w handlu zagranicznym Tadeusza Niemca, próbowałem swych sił w Metalexporcie. Zdałem nawet test z języków obcych, ale jak zobaczyłem ogromną salę z dwoma rzędami biurk zarzuconych konosamentami i innymi dokumentami, przy których siedzieli pracownicy z tłoczącymi się nad ich głowami interesantami, w zgiełku telefonów i maszyn do pisania, zrobiło mi się słabo i szybko opuściłem tego molocha. Jakkolwiek cotygodniowych wypraw do stolicy w celach całkiem prywatnych, a potem również naukowych, przez długi czas nie zaprzestałem.

Tymczasem na Politechnice rektor prof. Wacław Sakwa, wierząc w moje zdolności i szybką karierę naukową (niestety, zawiodłem go!), zaproponował mi pracę w nowym roku akademickim w Katedrze Mechaniki i Wytrzymałości Materiałów, kierowanej przez dra Oskara Michejdę. Nie zastanawiając się długo, przyjąłem tę ofertę jako zgodną z moimi zainteresowaniami, a jednocześnie najwygodniejszą i najmniej ryzykowną.

W ostatnim roku pracy na Wydziale dokładaliśmy starań, aby studenci na bieżąco wykonywali wszelkie zadania, co pozwoliło tych z IV roku bez zaległości przenieść do Politechniki Łódzkiej (tam ukończyli studia), a tych na roku V przygotować w terminie do egzaminu dyplomowego. W 1961 roku 67 osób uzyskało dyplom magistra inżyniera włókiennika, z tym, że ostatni uczynili to w październiku, kiedy kadra pracowała już społecznie.

Z dniem 31 grudnia 1961 roku Wydział Włókienniczy na Politechnice Częstochowskiej przestał istnieć, zarówno formalnie, jak i materialnie. Majątek nie przedstawiał istotnej wartości. Większość maszyn została złomowana, niektóre urządzenia przejęło Technikum Włókiennicze bądź Politechnika Łódzka. Mnie udało się uratować trochę książek (m.in. „Die Weberei” z XIX wieku), których nikt nie chciał zabrać. Dziś mają wartość jedynie historyczną.

Pozostało natomiast 516 absolwentów przez długie lata świadczących swoją pracą i postawą życiową, że studia na tym Wydziale właściwie przygotowały ich do wykonywania zawodu, do pełnienia odpowiedzialnych funkcji oraz kierowania zespołami ludzkimi w trudnych sytuacjach społecznych i politycznych, jakich nie brakowało w Polsce w II półwieczu XX stulecia.

Pozostały też wspomnienia, które w miarę upływu czasu nie zacierają się w pamięci - bo dotyczą lat młodości.